Rocznik II. Kraków, 1 lutego 1900. Numer 2.

SKARBNICA

pismo miesięczne

popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:

Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

Przedpłata roczna wynosi w **Austryi**: **5** koron (**2** złr. **50** ct.), **półroczna**: **2** korony **50** hal. (**1** złr. **25** ct.). **W Niemczech** na rok: **5** marek. — **W Ameryce** rocznie: **1 1/2** dolara.

Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Adres:

Redakcya *Skarbnicy* w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.

1900.

Ostatnie przypomnienie!

Jeszcze spora liczba z dawniejszych Sz. Czytelników, którym i ten numer 2-gi ***Skarbnicy*** przesyłamy, nie nadesłała na ten rok przedpłaty. Wszystkich tych, usilnie prosimy, aby się dalej nie opóźniali, gdyż numeru 3-go ***Skarbnicy*** stanowczo **nie otrzymają**, jeżeli w tym miesiącu przedpłaty nie nadeślą. My musimy płacić gotówką za druk i papier, więc nie możemy na kredyt pisma przesyłać.

Do niniejszego numeru ***Skarbnicy*** dołączamy na okaz pierwszy numer ***Nowego Dzwonka***, którego wydawnictwo wznawiamy, i wydawać będziemy to pismo dwa razy w miesiącu obok ***Skarbnicy***. Ktoby chciał otrzymywać także i ***Nowy Dzwonek***, ma również jak najrychlej nadesłać przedpłatę, inaczej 2-go numeru nie otrzyma.

Po raz już nie wiedzieć który, powtarzamy, że regularne i wczesne uiszczanie przedpłaty, jest głównym warunkiem, aby pismo mogło wychodzić regularnie i trwale.

Wydawnictwo.

Wielce pożyteczną książeczkę

pod tytułem

„PAMIĄTKA KATOLICKA"

czyli

„Zasady życia pobożnego"

nabyć można w **Księgarni katolickiej Dra Wład. Miłkowskiego w Krakowie.**

Cena za egzemplarz **25** ct. (50 hal.), z przesyłką o **5** ct. (10 hal.) więcej.

Uprasza się o rychłe zamówienia, gdyż już nie wiele jest tych książeczek. (1—10)

Rok II. Kraków, 1 lutego 1900. Numer 2.

SKARBNICA

pismo popularno-naukowe i powieściowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **5** koron (2 złr., 50 ct.) na pół roku **2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.) — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1½** dolara. **Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę, otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Ucieczka nieszczęśliwych.

(Legenda nadreńska).

(Dokończenie).

VI.

Około pietnastu mil od zamku Kazenellenbogen, na stromej skale, wznoszącej się nad gruzami dawnej wioski zniszczonej wylewem Renu, mieszkał w owym czasie pustelnik, którego wszystkie ludowe pieśni Alzacyi dotąd opiewają.

Był to sześćdziesięcioletni starzec, wspaniałej postawy, szlachetnych rysów twarzy; wejrzenie jego czasami ogniem płonące, to znowu łzami zamglone, zdradzało życie pełne walk i cierpienia. Wszystko zresztą w osobie jego wskazywało piękną i wzniosłą duszę, i przejmowało uszanowaniem licznych wędrowców, jego samotnię zwiedzających.

Własnemi rękoma wykował w skale małą grotę i mchem ją pokrył. Odwieczne dęby od skwaru słońca go osłaniały, woda małego strumyka skrapiała ogródek, w którym trochę jarzyn uprawiał. Zbyt mało to na utrzymanie życia, ale poczciwi wieśniacy przyległej wioski, którzy z taką miłością Matyldę przyjęli, chętnie też potrzeby pustelnika opatrywali. Jedni mu przynosili chleba, drudzy wina, inni owoców wedle czasu.

Mąż Boży z wdzięcznością te dary przyjmował i z uboższymi się dzielił.

Wszyscy w okolicy znali go pod imieniem ojca Bruno. Nikt jego pochodzenia ani historyi życia jego nie wiedział, albowiem niktby w jego obecności niedyskretnego pytania nie śmiał uczynić; wszystko w nim uszanowanie nakazywało; ale też nikt od niego bez pociechy, bez dobrej rady lub świętego zbudowania nie odchodził.

Skała, na której pustelnik mieszkał, od strony Renu nieprzystępną była prostopadle w spienionych nurtach rzeki się zatapiała. Z drugiej strony kręta ścieżka cierniem i chwastem zarosła, lecz zawsze zielonemi drzewami ocieniona, do samotni pustelnika prowadziła. Dla ułatwienia komunikacyi, pewien młody wieśniak z przyległej chatki służył za przewodnika podróżnym, którzy z ciekawości lub w pobożnem pragnieniu zasięgnięcia rady od męża Bożego, do jego samotni zdążali.

— Synu mój — mawiał do niego ojciec Bruno — przyprowadzaj mi więcej ubogich niż bogatych, i nie żądaj żadnej nagrody za twoje usługi, a błogosławieństwo Boskie będzie z tobą.

Całkowicie oddany służbie Bożej, czcigodny starzec, z gorącą pobożnością na Mszę św. uczęszczał i karmił się Chlebem żywota, to też święta przyjaźń łączyła go z zacnym pasterzem tej parafii, księdzem Weberem, który był opiekunem i dobroczyńcą jego.

Pewnego dnia gdy ten świątobliwy kapłan odwiedził pustelnika na samotnej skale, prosił go, żeby mu historyą życia swego opowiedział.

— Właśnie tegom żądał — odpowie ojciec Bruno; może już rychło Bóg mię do siebie powoła, nie chciałbym zatem odejść z tej ziemi nie zwierzywszy ci tajemnicy mojej. Może Opatrzność kogo z mej rodziny w te strony sprowadzi, może kto przed tobą ojcze! imię moje wymówi; wtedy powiesz, żeś mię znał, wskażesz miejsce gdzie spoczywają popioły moje, a modlitwa przychodnia przed Tron Najwyższego się wzniesie.

Otóż wiedz ojcze, że właściwe imię moje jest: Rudolf z Falkenbergu; przed dwudziestu laty byłem hrabią czeskim i posiadałem w tym kraju wielkie dobra i majętności.

Po kilku latach szczęśliwego małżeńskiego pożycia, straciłem ukochaną towarzyszkę moją, został mi tylko jedyny syn, Ulrych, którego, zajęty służbą wojskową, nie mogąc sam wychowywać, powierzyłem opiece starego przyjaciela mego, hrabiego Molsheima,

Gdy syn mój miał lat 19, cesarz obchodząc wielkie zwycięztwo ogłosił turnieje, na które się cała szlachta niemiecka zebrała. Ulrych pomimo swej młodości odniósł świetny tryumf w tej rycerskiej zabawie; ale przeciwnik jego Hugo, człowiek dumny i okrutny, chcąc się zemścić za swe upokorzenie, z bandą awanturników napadł na zamek mój. Pospieszyli mi na pomoc przyjaciel z synem, ale zamek już był w oblężeniu, i wszystkie komunikacye przecięte. Gdym jednak z wieży ujrzał chorągiew mych obrońców, zarządziłem wycieczkę. Z garstką walecznych żołnierzy uderzyłem na nieprzyjaciela, który ścigany, upadł już z koniem na ziemię; lecz w tejże chwili zostałem włócznią w plecy ugodzony i ległem na polu bitwy bez przytomności.

Gdym takową odzyskał, ujrzałem się na pobojowisku między trupami, a zamek jaskrawą łuną pożaru w ciemnościach świecił.

Wszystko stracone! — myślałem sobie — towarzysze moi broniąc mię polegli.... syn mój pewno zginął.... Boże zmiłuj się nademną!... wspieraj kroki moje!...

Tak z modlitwą w sercu, pomimo ran i boleści począłem się dźwigać, żeby się z tego miejsca oddalić. Nad rankiem spotkali mię pielgrzymi i wzięli ze sobą; a niosąc mię na noszach przez kilka dni, złożyli mię w szpitalu, gdzie z miłością przyjęty i opatrzony byłem.

Podczas długiej choroby mojej, wielem rozmyślał nad znikomością rzeczy doczesnych; zrozumiałem, że Pan Bóg te cierpienia na mnie dopuścił, żeby mię od świata i wszystkich ziemskich przyjemności oderwał; jakoż postanowiłem resztę dni moich w osobności, na służbie Bożej przepędzić.

Kapelan szpitala, który był jedynym przyjacielem i powiernikiem moim, utwierdził mię w tym zamiarze, radził mi osiąść w górach nad Renem i suknią pustelnika mię opatrzył.

Tak zamieszkałem w tym kraju, gdzie dobroć wasza i tych poczciwych wieśniaków życie mi osładza. Byłbym zupełnie pośród was szczęśliwym, gdybym wiedział co się dzieje z synem moim; czy on żyje? czy nie? gdzie się obraca? a ta niepewność i tęsknota srogą boleścią serce mi rozdziera.

— Ufajmy Bogu! — odpowie kapłan, ściskając dłoń przyjaciela. Może Opatrzność, po tylu burzach, wieczór życia waszego jasną pogodą rozweseli.

— Boże! bądź wola Twoja! — dodał czcigodny starzec, wznosząc oczy i ręce do Nieba.

VII.

Kilka lat upłynęło, i wiele odmian w chatce starego Bertrama zaszło. Liza, córka jego, wyszła za mąż za Arnolda, poczciwego wieśniaka, który podróżnym drogę do pustelnika wskazywał. Wielka radość we wsi panowała, tylko serce Matyldy zawsze ciężką boleścią ściśnione pociechy nie znało.

Albert stał się dzielnym i zręcznym myśliwym; a widząc matkę ciągle we łzach, pewnego dnia rzecze do niej:

— Droga matko! posłuchaj mię. Dozwól mi pójść do tego niegodziwego Hugona. Jeżeli mój ojciec jest u niego w więzieniu, ja go uwolnię; jeżeli umarł, pójdę ze skargą do cesarza, a on nam sprawiedliwość wymierzy.

— Moje drogie dziecię! odpowie hrabina — czyżbyś i ty chciał mię opuścić? Cóżby się ze mną stało, gdybym i ciebie straciła? To śmierć dla mnie! Zresztą dokądże pójdziesz? Od tylu lat nie wiemy, co się dzieje z Hugonem, tak niegodziwy człowiek, sprawiedliwym sądem Boskim, może sam gdzie z ręki nieprzyjacielskiej zginął. A choćbyś go i znalazł, to on będzie wymagał wielkiego okupu za twego ojca, a my nic nie mamy na świecie. Co zaś do cesarza, jakże mógłbyś dojść do niego, bez opieki, bez przyjaciół, w twojej ubogiej wieśniaczej sukmanie?

— Nie bój się, droga matko, Bóg mi podał tę myśl, Bóg mi dopomoże. Dlatego właśnie, żem ubogi i nieznany, będę chodził od zamku do zamku niby dla sprzedaży moich ptaków, wyuczonych do polowania. Wciskając się między służbę, między żołnierzy, strażników, dowiem się cokolwiek o moim ojcu, i od czasu do czasu przyjdę ci oznajmić, żeby się naradzić co czynić dalej.

Gdy się czcigodny proboszcz o tem pragnieniu Alberta dowiedział,

— Idź śmiało, synu mój, rzecze do niego; Bóg sam cię posyła. Anioł Pański jak był z Tobiaszem i z tobą będzie, a miłosierdzie Boże rozjaśni się nad wami.

Zachęceni i wzmocnieni temi słowy, Matylda z synem, gdy nadszedł dzień podróży, słuchają w kościele Mszy świętej, Ciałem Chrystusowem się zasilają, a gdy dłoń kapłańska z błogosławieństwem na głowie młodzieńca spoczęła, Matylda, ściskając syna ze łzami, Matce Bożej w opiekę go oddała. Odtąd samotna i zbolała bardziej jeszcze zatapiała się w modlitwie, u stóp ołtarzy duszę swą przed Panem wylewała, wiele Mszy św. za dusze zmarłych ofiarowała, i Bóg ją pocieszył, bo nigdy nie opuszcza tych, którzy się do Niego uciekają.

Albert z klatką na plecach od zamku do zamku chodził, ptaki sprzedawał; nikt się w ubogim góralu hrabiego Wehrdy nie domyślał, on się też nic o ojcu nie dowiedział, gdy pewnego dnia straszna burzą w lesie go zaskoczyła. Śnieg i deszcz lał ulewny, gwałtowny wicher drzewa wywracał; biedny młodzieniec, głodny i przemokły, długo się błąkał żadnej żywej duszy nie spotykając, i ze łzami o ratunek do Matki Boskiej wołał. Królowa Niebieska nad nim się zlitowała. Albert usłyszał szczekanie psów; i mniemając że jest w bliskości mieszkania leśniczego, za tym głosem poszedł, i rychło się ujrzał u podnóża góry, na której zamek się wznosił.

Przybywszy do mostu, postrzegł światło błyszczące wśród ciemności, szczekanie psów coraz głośniejsze było, i groźny głos do nich się odzywał.

Wtenczas Albert — ówczesnym zwyczajem — zanucił piosenkę, towar swój zalecającą.

— Pójdź precz z twymi ptakami! odpowiada mu groźny głos.

— Ach! przez litość nie dajcie umrzeć z głodu biednemu podróżnemu, zawołał młodzieniec.

— Czy to czas do podróży w taką słotę?

— Burza zatrzymała mię w lesie, drogi są zalane, od kilku dni przytułku nie znajduję!

Gdy to Albert z płaczem mówił, drzwi zamkowe się otworzyły i człowiek wilczą szubą odziany wprowadził go do dolnej sali; i oznajmiwszy swemu panu o kupczyku ptaków, na którego psy taki wrzask podniosły, wnetże przyszedł po Alberta.

— Pan mój chce cię zaraz widzieć, rzecze do niego; jest on nieco ostry, ale nie trzeba się go bać: hrabia Kacenellenbogen kąsa tylko tych, co mu się sprzeciwiają.

Hugo Kacenellenbogen! prześladowca mojego ojca. Na to straszne imię Albert zadrżał od stóp do głowy, ale wzniósłszy serce do Boga, uspokoił się i poszedł za odźwiernym. Rychło się znalazł w obszernej, gotyckiej komnacie, oświeconej wielkim ogniem, na kominku płonącym. Hrabia Hugo siedział za stołem, na którym stał srebrny puhar i dzban reńskiego wina. Przy kominku Emma i Gizela, małżonka i córka hrabiego, zajęte robotą, ledwo spojrzały na wchodzącego młodzieńca z obawy, aby ta niewinna ciekawość nie ściągnęła grubijańskiej przygany dzikiego człowieka. Służący zatrzymał się na progu, czekając na rozkazy pańskie.

— Cóż to! rzecze Hugo, puhar wychylając, czyś ty kupczyk nocnych ptaków, że o tej porze przychodzisz nudzić nas, i sen

ludziom przerywać? Miałbym ochotę z twemi sowami wrzucić cię do lochu...

— Panie hrabio! rzecze Albert drżący ze strachu, żebyś tak z biednem dziecięciem postąpił, nie miałbyś nigdy spokojnej nocy.

— Ha! znać żeś bystry i śmiały. Ja to lubię czasami. Pójdź no tu, pokaż mi twoje ptaki.

Gdy hrabia jako doświadczony znawca przypatrywał się sokołom, Albert ukłonił się damom i prosił o pozwolenie zaśpiewania nadreńskiej ballady.

Emma i Gizela zwróciły nieśmiałe wejrzenie na Hugona, który ciągle zajęty ptakami, — śpiewaj kosie! mruknął niedbale.

I Albert taką piosenkę zanucił:

Wiesz ty, dziecię, matka rzecze
Do syna ze łzami.
Że twój ojciec żywot wlecze
Brzęcząc kajdanami.
Że tęsknota go zabija
Złość zwycięzcy dręczy,
I szlachetne życie mija,
A on w więzach jęczy.
Osusz łzy twe, matko droga,
Uspokój twą duszę,
Ja przy łasce Pana Boga,
Więzy ojca skruszę.
Żal mi zdwoi moc w ramieniu,
Że zwyciężę wroga,
I ujrzysz w twem uściśnieniu
Ojca, — matko droga!

Hugo podniósł głowę i zmarszczył głowę.

— Dosyć tego śpiewaku bałłady! krzyknie groźnie; chciałbym cię skąpać w rowie z twemi żabami! Dosyć tego na dzisiaj! Jutro spróbuję twych ptaków, a jeżeli nie będą lepsze od ciebie, dacie razem nurka w Renie.

To mówiąc nalał wina, wychylił jedną i drugą czarę, rzucił się na fotel i usnął pijany.

Wówczas Emma rzekła z cicha do młodzieńca:

— Biedne dziecię! całyś zziębły i przemokły, usiądź przy ogniu; zaraz ci dadzą wieczerzę.

— Jeść z szatanem! Krzyknie hrabia, którego głos małżonki rozbudził. Idź precz, krogulcze, niech o tobie więcej nie słyszę!

Albert nie przeląkł się; ukłonił się dobrym paniom, wziął klatkę na plecy i poszedł za służącym.

— Rozdrażniłeś go, chłopcze — rzecze mu odźwierny, człowiek gburowaty ale prawie dobry, kiedy nie pijany, jak i pan jego. Ej! bo to z naszym panem nie żartować.

— Naprawdę, odpowie Albert, jeżeli on ubogich pachołków tak traktuje, biada temu, kto mu w drogę wejdzie.

— I kto wpadnie w kocie pazury! mówił dalej strażnik, przymawiając do nazwiska Katze — co po niemiecku znaczy kot. Prawda, że tu bywają straszne sceny, biedni więźniowie! ale to do mnie nic nie należy.

— Czy wielu jest? niby obojętnie zapyta Albert.

— Czasami mniej, czasami więcej; jedni pierwej umierają, drudzy później; ci co odchodzą, dają miejsce nowoprzybyłym. Ale jest jeden, którego dusza jakby przykuta do ciała. Mamy go od dziewięciu lat i jeszcze żyje. Prawda, że pani Emma nim się opiekuje i wszystkiego mu dostarcza; ale to do mnie nic nie należy; to jego szczęście!

— Musi to być wielka figura, dodał Albert, udając obojętnego.

— Ha! czy nie myślisz wykupić go złotówką, co na ptakach zarobisz, rzecze strażnik uśmiechając się.

— Oh! ja mówię jak ty: to do mnie nic nie należy. Kiedy kot ma szczura, może go zjeść, choćby nim był hrabia Wehrda.

— Czyżem ci powiedział to imię? zawołał strażnik, z przerażeniem patrząc na młodzieńca. Znasz-li ty hrabiego Wehrda?

— Słyszałem o nim, chodząc od zamku do zamku dla sprzedaży ptaków.

— Jeżeliś słyszał, to zapomnij o tem, bo tu jedno słowo niepotrzebne mogłoby cię drogo kosztować.

— Mój ojciec jest tu! rzecze do siebie Albert, i serce jego zadrżało boleśnie, westchnął do Boga prosząc o światło, o ratunek i miłosierdzie.

Strażnik ofiarował swemu gościowi kufel wina i kawał zwierzyny. Albert, drżący ze wzruszenia, posilił się, podziękował Panu Bogu, i rzucił się na łoże z suchych liści, wilczą skórą pokryte.

VIII.

Nazajutrz o świcie hrabia Hugo z całym dworem wybrał się na polowanie. Albert oddał pachołkom kilka ze swych ptaków. Hugo drażniąc rzecze do niego:

— Proś Boga, żeby twe sokoły dobrze się sprawowały; bo inaczej poszlę cię śpiewać ballady karpiom reńskim.

O wschodzie słońca strażnik, wziąwszy klucze, poszedł zanieść więźniom posiłek. Albert, który udawał śpiącego, widział go wychodzącego drzwiczkami w ścianie ukrytemi. Wnetże się zrywa i wziąwszy klatkę na plecy, tą samą puszcza się drogą. Za drzwiczkami znajduje kręte schody, i przez podziemną galerję dostaje się do lasu.

W Imię Boże! rzecze Albert do siebie, zamek ten zbyt pilnie strzeżony, żebym mógł odkryć miejsce cierpienia mego ojca; dosyć, iż wiem że żyje; a czego sam nie dokażę, to mi sprawiedliwość cesarska domierzy.

Uciekał więc co prędzej z tej fortecy, biegnąc ścieżką przez zarośla, gdy znagła spotyka się z leśniczym, który spojrzawszy na niego:

— Stój! zawołał, poznaję cię, nie godzi się tak mijać przyjaciół.

Albert strwożony zatrzymuje się, sądząc się już odkrytym i więźniem strasznego Hugona.

— Czyś to już zapomniał o biednym chłopcu, któregoś w lesie rannego ratował, nogę mu opatrzył i pieniądzmi obdarzył? Niech ci to Bóg hojnie nagrodzi! Widzisz, że mam lepszą pamięć od ciebie, i dziś jeszcze powtarzam, żem zawsze gotów na twoje usługi; choćby szło o skórę moją, niczego ci nie odmówię!

Dziwna a niespodziana pomoc, którą Opatrzność Boska biednemu młodzieńcowi przysłała!

Albert nie wątpił o szczerości wieśniaka, i opowiedział mu o celu swej podróży do zamku Kacenellenbogen.

— Teraz — mówił kończąc, szczęście moje jest w ręku twoim. Idzie to o wybawienie mego ojca, czy chcesz — czy możesz mi w tem dopomódz?

— Hum! mruknął wieśniak drapiąc sobie głowę, to ważna rzecz, bardzo ważna; nie spodziewałem się usłyszeć tego, coś mi powiedział. Wszakże przyrzekłem ci moje usługi, i powinienem słowa dotrzymać; a że sprawa twoja jest sprawiedliwa, Pan Bóg nam dopomoże!

I tak się stało. Poczciwy ten wieśniak był narzędziem Opatrzności; i Pan Bóg, dając go Albertowi za pomocnika do wybawienia ojca, pokazał raz jeszcze, że nigdy dobry uczynek bez nagrody nie zostanie.

IX.

W zamku Kacenellenbogen rychło postrzeżono ucieczkę hrabiego Wehrdy; lecz że Hugo nigdy swych więźniów nie odwiedzał, Emma zatem wspólnie z rządcą fortecy postanowili o tym wypadku milczenie zachować.

Kilka tygodni tak upłynęło, gdy pewnego dnia strażnik na wieży ujrzał oddział wojska pod chorągwią cesarską na zamek idącego. Dano znać o tem hrabiemu, który się bardzo tą wiadomością zdziwił i zatrwożył. — Co znaczy to wojsko niemieckiego cesarza? myślał sobie, żadnego o tem nie miałem zawiadomienia. Ale krótka była niepewność. Trąba na moście zabrzmiała, i w imieniu cesarza kazano hrabiemu Kacenellenbogen otworzyć bramy fortecy, oznajmiając, że w przeciwnym razie jako zdrajca powieszonym będzie.

Żołnierze Hugona, zbiegowisko awanturników, okrutni i zuchwali w napaściach na słabych i bezbronnych, struchleli wobec regularnego wojska; rzucili zatem broń i oświadczyli, że przeciw cesarzowi walczyć nie będą.

Opuszczony od swoich, Hugo widział otwierające się bramy fortecy. Wnet go uwięziono, a straż cesarska zamek objęła.

Rychło nowe wojsko na pomoc pierwszemu przybyło; na jego czele był młody Albert, który góralską sukmanę na mundur wojskowy zamienił. Najprzód rozkazał on uszanować małżonkę i córkę hrabiego; obie niewinne, obie godne czci i wdzięczności jego. Do Huga zaś rzekł:

— Nikczemny rycerzu! mam prawo tak postąpić z tobą jakeś ty z moim ojcem, hrabią Wehrda, się obchodził. Miałbym nawet prawo rzucić cię na pastwę karpiom reńskim, jakeś ty mnie groził; ale nie chcę nadużywać mego zwycięztwa: dla miłości Pana Boga przebaczam ci wszystkie krzywdy, jakieś mej rodzinie uczynił. Żeby jednak bezkarność nie upoważniała innych do zbrodni, będziesz uwięziony tam, gdzie jęczał mój ojciec, dopóki szczerą poprawą na łaskę cesarza nie zasłużysz.

Emma i Gizela, upadając do stóp Alberta, prosiły o przebaczenie dla winowajcy.

— Wiem, odpowiedział młodzieniec, żeście osładzały srogie cierpienia mego nieszczęśliwego ojca; nigdy o tem nie zapomnę, ale ja tu spełniam rozkazy cesarskie. Po wybawieniu mojego ojca, bojąc się żeby znów nie wpadł w ręce okrutnego Hugona, udałem się do cesarza, prosząc o jego opiekę nad nami. Książe, dowiedziawszy się o strasznych klęskach całej mojej rodziny, wydał rozkazy, któreśmy w imieniu jego spełnili.

Nadto dla wynagrodzenia straty dóbr naszych, darował mi zamek Kacenellenbogen: ale ja w imieniu mojego ojca i mojej matki, przywracam wam tę posiadłość, pod jednym warunkiem, że zamek ten będzie pod strażą wojska cesarskiego, dopóki hrabia Hugo szczerą poprawą na uwolnienie nie zasłuży. Bądźcie obie jego Aniołami i wyjednajcie mu u Boga prawdziwe nawrócenie — zadanie to zaiste godne jest wzniosłych cnót, które was zdobią.

X.

Gdy się to działo w Kacenellenbogen, ubogi podróżny znękany cierpieniem, samotną ścieżką zdążał do plebanii księ- Webera. Gościnnie przez czcigodnego kapłana przyjęty, gdy mu powiedział, kto jest i zkąd przychodzi, proboszcz uniesiony radością, znając tajemnicę Matyldy i pustelnika, natychmiast na samotną skałę go prowadził.

— Wielki Boże! zawołał ojciec Bruno, słysząc nazwisko swego gościa. Tyżeś to Ulrych, syn mój, któregom śmierć opłakiwał? bom ja Rudolf z Falkenbergu, ubogi jak ty, wygnaniec jak ty! Ach! Jakże Bóg dobry, że nas tu jeszcze połączył!!

Wszyscy zatem spieszyli do Matyldy, żeby jej co rychlej tę szczęśliwą zanieść nowinę. A że sędziwy pustelnik nie mógł o zmroku ścieżki stromej skały przebywać, zapalili wielki ogień; co było dla mieszkańców wioski umówionym znakiem, aby mu na pomoc przybyli.

Jak tylko jaskrawe płomienie wzniosły się do góry, wnetże poczciwi wieśniacy z ojcem Bertramem na czele pośpieszyli na górę ze światłem, z długimi okutymi kijami. Młodzieńcy wzięli Rudolfa na ręce i rychło cały orszak do chatki Matyldy przybył.

— Córko moja! zawołał ksiądz proboszcz, Bóg ci przyprowadza twego małżonka; i Albert, który go z niewoli wybawił, rychło tu przybędzie. A nadto — teraz mogę wyjawić tajemnicę, że w tym czcigodnym pustelniku, którego wszyscy kochamy, widzisz hrabiego Rudolfa z Falkenbergu. Bóg go na pociechę waszą przy życiu zachował. Niech imię Jego święte będzie błogosławione!!

Matylda mniemała, że to sen. Serce jej o mało ze wzruszenie nie pękło. Poczciwy wieśniacy podzielali jej szczęście; wielka radość panowała we wsi; wszyscy błogosławili Boga, wielbili dziwne drogi Opatrzności.

Zaledwo słońce promienistym blaskiem oświeciło szczyty gór, gdy zabrzmiała trąbka wojskowa. Był to Albert na czele swego oddziału przybywający. Młody rycerz, którego wiejscy

towarzysze pod błyszczącą zbroją poznać nie mogli, upadł do stóp ukochanej matki.

Przywiózł on dekret cesarski, przywracający rodzinie Falkenbergów wszystkie ich zabrane posiadłości; oraz nominacyą hrabiego Wehrdy na urząd Namiestnika cesarskiego; dla poskromienia w Obwodzie Reńskim złych hrabiów, różnych nadużyć się dopuszczających.

Zamek Wehrda z gruzów odbudowany, stał się w krótkim czasie śliczną i wspaniałą rezydencyą.

W zamku Kacenellenbogen obalono wieże i baszty obronne. Hrabia Hugo zmarł bez pokuty. Emma i Gizela, przerażone straszną jego śmiercią, zamek na klasztor zamieniły, aby gdzie panowała nieprawość, chwała Boża zawsze brzmiała.

ZAPIECEK.

(Z podań i baśni ludowych).

Uboga jedna wdowa, żyjąca z ciężkiej rąk swoich pracy, tem się przynajmniej pocieszała w biedzie, że jak jej syn dorośnie, będzie miała z niego pomoc i wyręczenie. Tymczasem omyliła ją nadzieja, bo synalek wyrósł wprawdzie jak dąb, był zdrów jak rydz, ale cóż potem? kiedy polubiwszy z młodu nieszczęsne lenistwo, wcale się do roboty nie garnął: jadł, pił, spał wybornie, lecz też o niczem więcej nie myślał.

Nie chciało mu się i z miejsca ruszyć, a dla większej wygody i spokojności, aby go nikt nie wybijał z słodkiego o niebieskich migdałkach marzenia, obrał sobie rezydencyą na przypiecku, którą chyba w najgwałowniejszej opuszczał potrzebie.

Tam dni całe i nocy przepędzając, uważany był za prawego tej zimowej kwatery dziedzica; już nawet prócz matki, nikt imienia jego nie pamiętał, i tylko go Zapieckiem nazywano.

Pewnego razu biedna matka wysławszy dziewuchę do roboty, została sama w domu, a piekąc chleb, nie miała się kim posłużyć.

Woła więc: — mój synalku! zejdź jeno z przypiecka, i przynieś mi wody; bo widzisz, że zarabiam w dzieży, a Maryśka na pańskiem. Synalek zamiast odpowiedzi, przewrócił się tylko na drugą stronę.

Biedna matka, krzątając się około pieczywa, przeklinała siebie i swe niezdarne dziecko; nakoniec jednak wpadła na koncept, i odezwała się do niego: — Zapiesiu! jak mi przy-

niesiesz wody, upiekę ci duży kołacz; tylko żwawo, ruszaj się przecie! — Zapiecek zwykle drugiem uchem wypuszczał, co pierwszem usłyszał; ale to słowo kołacz jakoś go uderzyło, i już go nawet zalatywał zapach świeżego pieczywa.

Nie podobna więc było oprzeć się takiej ponęcie, zwłaszcza że głód porządnie mu był dokuczył.

Schodzi więc z zapiecka, przeciąga się, ziewa; ale bierze konewki, i leniwym krokiem wlecze się po wodę; schyla się do strumyka, z którego zwykle wodę czerpano, i nabrawszy, spostrzega, że coś po wierzchu pływa. Długo Zapiecek łowił, nim mu się udało schwytać prześliczną rybkę, żółtą i lśniącą się jak złoto. Dlategoteż radość jego nie miała granic, gdy tak wielkiego dokonał dzieła, i trzymając mocno biedną rybkę w ręku, zaczyna ją zewsząd oglądać i rozmierzać, mówiąc sam do siebie: — ot! to dzwonko będzie dla ciebie Zapiesiu, a to dla matusi!

Ale jakże się zląkł, gdy rybka żebrzącym głosem przemówiła do niego: — nie czyń tego Zapiecku, bo cóż ci ztąd przyjdzie, że mnie zabijesz i porąbiesz na ćwierci; jestem mała, niesmaczna; a tak napróżno mnie zgubisz, a siebie nie nasycisz; raczej puść mnie do wody, a mogę ci się na co przydać.

— A na cóżbyś mi się przydała, biedne stworzenie, rzekł ośmielony trochę Zapiecek.

— Oto, rzekła rybka, jeżeli mi życie darujesz, zrobię cię szczęśliwym.

— A to jak? zapytał się dalej, coraz ciekawszy.

— Odkryję ci ważną tajemnicę, rzekła rybka, czego tylko będziesz żądał, wszystko się stanie natychmiast, jak tylko wymówisz te słowa: „niech tak będzie, w imię Boskie i złotej rybki“.

Zapiecek ucieszony obietnicą, ale nie dowierzając jej trochę wyrzekł dla próby: Konewki ruszajcie do domu w imię Boskie i złotej rybki! I o cudo! widzi z największem swojem podziwieniem toczące się konwie z wodą prosto ku domowi, które przybywszy na podwórek, stanęły przede drzwiami, czekając, aż im kto otworzy. Zapiecek puściwszy rybkę, postępował za niemi wolnym krokiem.

Matka jego wychodząc z chaty, zobaczyła konwie, i była pewną, że jej synalek pospieszywszy się tą razą i przyniósłszy wody, poszedł sobie na wieś bawić się z chłopcami. Po niejakim czasie powraca i Zapiecek z wesołą miną, i pyta o ko-

łacz? Podaje mu go czemprędzej matka, kontenta, że jej choć raz w życiu usłuchał.

W kilka dni potem matusia miała wielkie pranie w domu, a drzewa nie było. W tym kłopocie prosi znów synalka, aby się nad nią zmiłował i urąbał drew, a za to nagotuje mu na obiad klusek.

— Ale matusiu! nie masz ani kawałka na podwórku, cóż będę rąbał? — Więc jedź do boru, i przywieź jaką choinkę.

Trafiła mu matka w dobry humor. Zapiecek wsiada na wóz, jedzie do boru, i tam upatrzywszy sobie najtęższą sosnę, rzecze: „moja choinko, w imię Boskie i złotej rybki, połóż się na ten wóz i ruszaj do domu“. Ledwo te słowa wymówił, powstał najprzód szum, a potem trzask łamiących się gałęzi; ogromne sośnisko z korzeniami i swem długiem wierzchołkiem, leżąc jak najbezpieczniej na wozie, wędruje prosto do domu. Zapiecek usiadł sobie na niej, i wracał do matusi jak na tryumfalnym rydwanie.

Lecz wjazd takiej machiny, nabawił go wielkiego kłopotu. Ponieważ droga była ciasna i kręta, niepodobna było ustrzedz się szkody. Tak więc tłocząc się środkiem wsi, płoty porozrzucał, chlewy i chaty stojące na zawadzie blisko drogi poobalał, nim przywędrował do domu. Ztąd w całej wsi powstał wielki hałas i skargi na Zapiecka Cała gromada poszukując swych szkód poszła z użaleniem do króla, żądając wynagrodzenia.

Król wysłuchawszy skargę, ciekawym był poznać tak dziwnego woźnicę; wydał więc rozkaz, aby się natychmiast przed nim stawił. Nieustraszony niczem Zapiecek, zajmujący swą zwyczajną kwaterę, chcąc woli królewskiej w ten moment zadosyćuczynić, zawołał: „mój piecku, zawieź mnie do króla, w imię Boskie i złotej rybki“; i zaraz piec wyruszył otwartemi drzwiami, a nim leżał sobie spokojnie Zapiecek na brzuchu, i gwizdał piosneczkę: „Wlazł kotek na płotek i mruga“.

Przybył do stolicy właśnie w tej chwili, gdy król wyprawiał wielką ucztę. Była to nadzwyczajna feta, albowiem król, mający córkę jedynaczkę, przecudnej urody, postanowił za mąż ją wydać, i w tym celu zjechało się mnóstwo książąt z różnych krajów, z pomiędzy których królewna sama męża sobie wybrać miała.

Dostojni goście, siedząc właśnie u stołu, zajadali przewyborne kąski i popijali smaczne wino.

Zapiecek, dostawszy się, już nie wiem jakim sposobem, do pałacu królewskiego, wszedł w piec tej sali, gdzie stoły były zastawione, i tam dziurkę sobie zrobiwszy, przypatrywał się wszystkiemu z wielką ciekawością. Uraczony widokiem tylu królów i książąt jak najkosztowniej ubranych, razem biesiadujących, pomyślał sobie: ach! żebyś też i ty mógł tak się weselić jak oni, jeść i pić i bankietować! w imię Boskie i złotej rybki, niechże ja też mam to, co oni.

Ledwo te słowa wyrzekł, już ujrzał przed sobą stół nakryty i zastawiony najwyborniejszemi potrawami. Wziął się zatem do jadła i wnet zapomniał o królach, książętach i całej dworskiej czeredzie. Ale gdy głód swój zaspokoił, i położył się znowu na brzuchu, jak był zwykł czynić, kiedy się czuł zupełnie szczęśliwym; zaczął znowu patrzeć dziurką z ciekawości, co dalej będzie. Wtedy to dopiero przypatrzył się lepiej całemu dworowi; lokajom z galonami, panom bogato ubranym, wysmukłym dworakom, nadskakującym i przychlebiającym się królowi, i damom przecudnej urody. Wszystko mu się bardzo podobało, ale najbardziej ta dama, siedząca obok króla, na którą wszystkich oczy były zwrócone. Nic podobnego jeszcze w życiu swojem nie widział.

Westchnąwszy zatem i w zachwyceniu marząc o królewnie, sam nie wiedział, jak w nim powstało życzenie posiadania ślicznej księżniczki za żonę Aż tu naraz król powstaje ze swego krzesła, pije zdrowie królewnej, swej córki, i przyszłego jej małżonka, którego w tej chwili obrać sobie miała, i pyta sam ciekawy: kogóż więc serce twoje wybrało?

Zadrżeli książęta przejęci trwogą i ciekawością w tej ważnej chwili. Księżniczka powstaje także i odzywając się poważnym głosem: tego, rzekła, wskazując na piec, który się cudownym sposobem rozwalił, przedstawiając zdumionemu dworowi brudnego i zmurzonego Zapiecka.

Łatwo sobie wystawić zamięszanie, jakie sprawiło wystąpienie na scenę nowego konkurenta. Wszyscy z miejsc swych powstali; zrobił się rozruch po sali. Król zapalony gniewem i zawstydzony tak osobliwszym wyborem córki, pojąć się wcale nie może. Książęta wołają oburzeni: kto ty? co ty? nędzniku! precz ztąd, jeśli chcesz unieść łeb cały!

Ale królewna zbliżając się ku niemu i podając mu rękę, rzekła uroczystym tonem: to mój małżonek, którego z woli króla a ojca mego sobie wybieram; tak chcę, tak się stać musi: nikt już nie zmieni mego postanowienia.

Zawstydzeni książęta, że brudny Zapiecek pierwszeństwo otrzymał, rozjechali się niebawem, a król zagniewany, nie mogąc cofnąć danego słowa, myślał tylko o zemście i o zatracie tak nierównego zięcia. Udaje, że pozwala na wszystko, lecz po ślubie zaraz kazał oboje zamknąć w dużą szklanną banię i wrzucić w morze.

Zapiecek uszczęśliwiony posiadaniem cudnego anioła, mało się troszczył o to, co król o ich losie postanowi; przeciwnie zaś królewna pogrążona była w wielkim smutku, że zacząwszy dopiero kosztować słodyczy małżeńskiego stanu, tak marnie ginąć musi.

Osadzeni w bani i wrzuceni w morze, z razu o niczem nie wiedzieli; śmierć okropna stojąc przed oczyma, wszelką im odjęła przytomność. Zapiecek pierwszy przyszedłszy do siebie i obejrzawszy się na około po swem niebezpiecznem mieszkaniu, przekonał się wkrótce, iż bez nadzwyczajnej zręczności nie podobna będzie ocalić bani, a tem samem uniknąć śmierci.

Tu wieloryby i potwory morskie otwierają straszliwe paszcze, tam znowu sterczące skały, pewnem grożą rozciciem. Trzeba było wielkiej odwagi i biegłości, aby ujść tylu niebezpieczeństw. Zapiecek zaczął sterować, wywijać się pomiędzy skałami i hakami, aby się bania nie rozbiła lub na piasku nie osiadła. Znużony ciężką pracą zasnął słodko przy swej cudnej królewnie i śniło mu się o kołaczu, kluskach, kiełbaskach i kwaśnej kapuście, które dawniej u swej matki z największym zjadał apetytem.

Na pół we śnie, wpół na jawie, wyrzekł owe znane nam słowa, aż tu ujrzał stolik między sobą, a swą dostojną małżonką z wymienionemi wiejskiemi przysmaczkami. Jak głodnego Zapiecka ucieszył, tak królewnę przeraził zapach kapusty i widok łokciowej kiełbasy pływającej w rumianym sosie, jak wieloryb po morzu. Już je zgłodniały sternik pożerał oczyma, gdy Jejmość nagle dostała spazmów i przerwała mu smaczny wiejski obiadek.

— A pfe! rzekła królewna, cóż ja to widzę? chłopskie przysmaczki na stole królewskiego zięcia? fidonc! udusi mnie ten brzydki zaduch; ach! dla Boga, mdleję; ratuj twą kochającą żonę. Zapiecek w strachu, tysiąc życzeń wyrzekł w tej krytycznej chwili: wódka kolońska, perfumy, olejki różane, wszystko to było na placu i wszystko nie wiedzieć jak stanęło na jego rozkazy.

Wkrótce też królewnę ominęły mdłości, gdy na żądanie Zapiecka, zamiast wiejskiej strawy, ujrzano najwyszukańsze francuzkie przysmaczki i włoskie łakocie. Miękkie to było i niesmaczne dla strawnego żołądka naszego Zapiecka; jednak tenże obawiając się powtórnych mdłości swej żony, zajada, i chwali jak może wykwintne potrawy; a wpadłszy już raz na pański tor, zaczął rozmyślać nad tem, jakby to napotem po pańsku, a raczej po królewsku żyć na świecie. Przy pomocy Boskiej i wiadomej opiece czarodziejskiej rybki przypłynęła bania na wyspę, obfitującą we wszystko.

Tutaj, stłukłszy banię, wylądował Zapiecek, a nie tak z własnej woli, jako raczej dla przypodobania się swej dostojnej małżonce, wiadomym sposobem wystawia przepyszny pałac, w najpiękniejszej okolicy, umeblowany z największym przepychem; ekwipaże, lokaje, kasa zawsze pełna, wszystko to było na ich zawołanie.

Ich sława wkrótce po całej się wyspie rozeszła, a co większa, doszła nawet uszu Jego królewskiej mości teścia, który teraz zmieniwszy swe dawniejsze postanowienie, nietylko zięciowi łaskawie przebaczyć raczył, ale na dowód swej szczególniejszej łaski (inni wówią, że to uczynił z ciekawości, aby oglądać wspaniały pałac i przekonać się o przepychu onegoż) przyjechał także odwiedzić zięcia swego, a teraz wielkiego księcia.

Nie będę opisywał obiadów, uczt hucznych i różnego rodzaju zabaw, z powodu przybycia tak znakomitego gościa dawanych; boć zapewne nie jedli, nie pili, nie bawili się inaczej, tylko tak, jak i my się bawimy, zwłaszcza, kiedy jesteśmy w dobrym humorze, i po nas bawić się będą. Wreszcie kto wie, czy nie gorzej? bo wielcy panowie ten zysk z swej wielkości odnoszą, że się bardziej nudzą.

Gdy więc pewnego razu Zapiecek, a teraz wielki książę, wstał z królem i gośćmi swymi od stołu, odezwał się do nich w te słowa:

— Jużeście, moi panowie, wiele pięknych rzeczy w mym pałacu oglądali, ale żaden z was nie widział jeszcze przepysznego ogrodu; mówię przepysznego, bo jestem pewien, iż nikt z panów nie ma nic podobnego u siebie, dlategoteż klucz od niego zawsze przy sobie noszę, i tych tylko tam wpuszczam, którym chcę dać dowód szczególniejszej łaski; jestto zaszczyt, który w równi kładę z udzieleniem orderu złotego runa. Lecz, kto chce oglądać mój ogród, musi się

przysięgą zobowiązać, że nie ruszy żadnego owocu, choćby mu nie wiem jak zasmakował.

Wszyscy byli ciekawi widzieć tak zachwalane specyały, a zwłaszcza król. Po złożeniu przysięgi, wpuszczeni do ogrodu; ale jakież było ich zdziwienie, gdy zamiast oranżeryi, ananasów, cytryn i złotych pomarańczy, których się tutaj spodziewali, zamiast angielskich plantacyi, ujrzeli się w prostym wiejskim ogrodzie. Kartofle, dynie, kapusta, brukiew, ogórki, zastępowały miejsce melonów i ananasów; gruszki, śliwki, jabłka, miejsce cytryn i pomarańczy. Wszyscy goście przez grzeczność admirują ogród, oglądają zagony, zdobywając się na nowe coraz pochwały.

Tymczasem Zapiecek kazał swemu nadwornemu nadwornemu ogrodowemu, aby upatrzył chwilę, jak się jego goście zagapią, i nakładł cichaczem teściowi w kieszeń uleżałek. Zrobił jak kazano; a przy wyjściu postawiono straże, nuż rewidować i przetrząsać każdego, czy nie ma przy sobie kontrabandy. Znaleziono u króla uleżałki. Wstyd go było, że tak podły owoc znajdował się w jego kieszeni, ale co gorsza, zięć z grzecznego gospodarza, przybrawszy minę surowego pana, rzecze groźnie: — złamałeś przysięgę teściu mój, wiesz, co cię czeka — śmierć niechybna.

Jeżeli dla kogo, to szczególniej dla wielkich panów, opływających we wszystko, śmierć najmniej pożądanym jest gościem. Zbladł król ze strachu, i nuż prosić zagniewanego zięcia swego, aby tego nie brał tak ściśle. Dał się wreszcie ubłagać i rzecze: — mógłbym się teraz zemścić za to, żeś mnie w morze wrzucić kazał, jednak nie uczynię tego; bo szlachetniejsza jest darować urazy i przebaczać tym, którzy nas skrzywdzili, niżeli się mścić na bezbronnym nieprzyjacielu.

Była to ostatnia przygoda głośniejsza w życiu naszego Zapiecka. O dalszych jego dziejach, tyle tylko wiarygodni powiadają ludzie, że był szczęśliwy, miał kilkoro dzieci, które mu pięknie wyrosły, i że do śmierci pielęgnował starannie ów wiejski ogród, a to na pamiątkę niskiego stanu, z którego powstał.

Miłość bliźniego.

Pewien Pleban wracał z sąsiedniej wioski i mówił po drodze brewiarz. Dwaj młodzi oficerowie, którzy w pobliżu mieli kwaterę, szli tą samą drogą. Gdy mijali kapłana, zaczęli

się śmiać szyderczo, ale idąc szybko, wkrótce kapłana daleko za sobą zostawili.

To spotkanie z kapłanem, dało im sposobność mówienia o religii, czyli raczej o jej braku, t. j. o niedowiarstwie swojem.

— Ja nie mogę znieść księży! rzekł jeden.

— I ja tak samo, odparł drugi.

— Oni sami nie wierzą w to, czego uczą.

— To tylko interes, jak każdy inny.

— Religia dobra dla starych bab.

— I dla małych dzieci.

— Religijne narody nie lepsze jak inne.

— W ogólności przynajmniej.

I tak coraz dalej i dalej rozmawiając, spostrzegli nagle żebraka, który siedząc przy drodze wyciągał rękę, prosząc o jałmużnę. Żebrak ten, łachmanami odziany, blady, wychudły, bolesny przedstawiał widok. Oficerowie dali mu po kilka centów i szli sobie dalej.

— Założę się, że mu proboszcz nic nie da, rzekł jeden z nich.

— Zaczekajmy i uważajmy, odparł drugi.

— Wiesz co? rzekł pierwszy, stańmy sobie za płotem, bo gdy nas obaczy, to mu da co, abyśmy widzieli; a jeśli się skryjemy, poznamy prawdziwe jego usposobienie.

Jak rzekli, tak zrobili. Obaj oficerowie skryli się za płot wkrótce potem przechodził tamtędy proboszcz, w modlitwie zatopiony.

Rozumie się, że żebrak i jego prosił o jałmużnę.

Kapłan spojrzał na niego, zamknął brewiarz i szukał pieniędzy po kieszeniach.

— Mój biedaku, rzekł, jeszcze szukając, rzeczywiście zdaje mi się, że w tej chwili nic nie mam przy sobie.

Młodzi oficerkowie zaczęli się szyderczo śmiać za płotem.

— Nie mówiłem ci? szepnął jeden.

Kapłan szukał jeszcze, aż się przekonał, że w istocie nic przy sobie niema.

— A to prawdziwie kłopot; ani centa nie mam przy sobie, rzekł.

— Słyszysz? mówili do siebie oficerkowie.

Kapłan litośnie spojrzał na żebraka i spostrzegł jak licho i nędznie był odziany.

— Pewnie wam bardzo zimno w waszem odzieniu! rzekł.

— Z pewnością, proszę Jegomości, zapewniał żebrak.

— No to poczekajcie chwileczkę.

To mówiąc położył Proboszcz brewiarz na murawie, obejrzał się na wszystkie strony, zdjął swój paltot, dał go żebrakowi i pomógł wdziać.

— Tak mój przyjacielu, weź ten surdut, przynajmniej nie będzie ci zimno, a ja wkrótce będę w domu. Nie mów nikomu nic o tem, ale módl się za mnie!

Żebrak ze łzami w oczach dziękował.

Nazajutrz rano, obaj oficerowie przyszli do kościoła do spowiedzi.

Wspaniałomyślne miłosierdzie tego kapłana, zawstydziło obu szyderców, wzruszyło i nawróciło. Prawdziwa miłość kapłana była im powodem, że już dłużej nie opierali się łasce i zmiłowaniu Bożemu. W miejsce obojętności, nastąpiła żywa wiara, a Kościół dwa dzielne i szlachetne serca pozyskał.

List z Brazylii.

Ojcowie wy moi, matusiu serdeczna
I ojcze rodzony — ratujcie biedaka!
Tu, kędym się dostał, niewola mi wieczna
I żałość za serce mnie chwyta, oj! taka,
Że radbym na skrzydłach ztąd leciał w tej chwili
Przez morze, przez sine, do chaty, do białej...

Tam u was już zima ku wiośnie się chyli,
Choć nocą przymrozki, już śniegi stajały,
I ojciec wnet z pługiem na pole wyruszy;
Bociany wracają i klucz tam żórawi
Już pewno nad ziemią skrzypiący się pławi...
Oj matuś! gdy wspomnę, aż rwie się coś w duszy.
Tu całkiem inaczej. Tu inne są nieba
I mowa inksza: ot, pożal się Boże,
Zagadasz do człeka po ludzku, jak trzeba,
A co ci odpowie, ten zgaduj, kto może!
Bywało, gdy jadę na dworskie, na łany,
Czy z pługiem na ugor, czy z broną na rolę,
A huknie pan na mnie: „Cóż to, mój kochany,
Czy myślisz, że długo marudzić pozwolę?“
Lub krzyknie ekonom: „A żwawo, Macieju,
A jak to pług wiedziesz? a jaka to skiba?
Znać w głowie już nie masz ni za grosz oleju!“
To człowiek zrozumie — a nie wstyd, bo chyba

Gdy łaje swój swego? — więc nawet nie gniewny.
A tutaj nie łają, lecz wszystkim ja obcy
I nikt mi nie swojak, i nikt mi nie krewny,
I wszyscy my tutąj rataje, parobcy,
Jak owce zginione. Są także kobiety
I dzieci u piersi. I wielkie ztąd smutki,
Bo matki w głos jęczą: „O Chryste! o rety!“
Gdy zamrze im z biedy robaczek malutki.
A zamrzeć jak niema? ni domu, ni łomu...

Bez pracy — giń z głodu, a z pracą — też bieda,
Bo krzywdzą a niema poskarżyć się komu,
I urząd tutejszy słuszności nam nie da.
Sprzedane my ludzie... za lichą zapłatę.

I znikąd pociechy i znikąd nadziei...
Matusiu wy złota! czy syna wy na to
Rodzili, głaskali, żeby w Brazylei
Przepadał wam marnie? Jest u was tam kiecka
I jedna i druga, są sznury korali —
Sprzedajcie! ratujcie! Użalcie się dziecka,
Bo na tej obczyźnie kto się mu użali?

Gdy pacierz człek mówi, to nawet sam nie wie,
Czy dojdzie do Boga... Tu wszystko opacznie:
Inaksze tu gwiazdy, ptak inny na drzewie,
A kiedy z drzewami rozhowor wiatr zacznie,
To nie tak jak u nas, co szepce lub wyje —
Tu — ryczy i szczeka, jak wściekłe bestyje!
Dziewczęta — myślicie? Oj! pomnę ja Hanię...
Oczęta, jak chaber! Tu — spojrz której w oczy,
A żarem z nich sypnie, aż w głowie się zmroczy...
A ludzie tutejsi? Ot! prosto cyganie.

Oj! niosło nas morze szumiące, zielone,
Oj! niosło na mękę. Już my na okręcie
Niemało cierpieli! lecz nam ludzie one,
Co kusić nas przyszli na to przedsięwzięcie,
Mówili, że tylko przeszkadza tak morze,
Że potem z okrętu gdy człowiek wysiędzie,
Jak w raju się znajdzie... Raj? Skaranie Boże!
W tym raju zwierz dziki i gadu moc wszędzie.
Tu żre nas tęsknica, tu zjada nas nędza,
Tu twardy nas ciwun do roboty pędza.

No! ziemia to zawsze jest matka łaskawa,
Lecz ziemi tej darmo nie dają, ojcowie!
Nic tutaj nie dają! Nas ciżba jest mnoga;
Każdego spytajcie, a każdy wam powie,
Że w piersi się bije, a modli do Boga:
„Daj wrócić nam, Panie! Do chaty, do ziemi,
Do starych rodziców — na chleb nasz razowy,
Na ziemię tę naszą, na cmentarz wioskowy
Daj wrócić! Daj pożyć i umrzeć ze swemi!“

O Afryce południowej.

Gorąco teraz być musi tym ludziom, co w Afryce południowej wojują: i Burom i Anglikom. Gorąco nietylko dlatego, że kulami i ognistemi, wybuchającemi bombami częstują się nawzajem, aleć bo i słońce praży ich nie na żarty. Kraje tam zawsze ciepłe, a teraz, kiedy u nas zima panuje, tam lato nadchodzi, słońce w każde południe wzbija się coraz wyżej. Najgoręcej zaś jest tam w miesiącach styczniu i lutym, wtenczas, kiedy nam powinny mrozy dać się we znaki.

Oj byłoby tym wojakom gorąco tam nie do wytrzymania, ale całe ich szczęście, że są trochę bliżej nieba, niż my w naszym kraju naprzykład. Wszystkie kraje w południowej części Afryki leżą wysoko. Bardzo wiele jest tam gór. Ich boki są strome, a wierzchołki szerokie, obszerne, i jakby ścięte, płaskie niby stół. Jedna z takich gór jest na samym końcu Afryki, tuż koło przylądka Dobrej Nadziei i miasta Kapsztatu; otóż ludzie ją przezwali górą Stołową. Inne rozciągają się płaskim wierzchołkiem na dziesiątki mil wzdłuż i wszerz, a miejscami mają na sobie szeregi gór o wiele wyższych. Między wszystkiemi zaś są wąwozy, przepaście, doliny, któremi woda spływa do rzek; ale i te zagłębienia leżą tak wzniesione, że u nas na zwyczajnem polu trzebaby ze dwadzieści kościołów postawić jeden na drugim, aby wierzchołek ich sięgnął równie wysoko. Na takiej wysokości powietrze jest zawsze o wiele zimniejsze niż na nizinach, więc nawet w najgorętszych krajach skwar słoneczny nie bardzo dokucza.

W Afryce południowej i druga jeszcze przyczyna osłabia spiekotę. W najgorętsze miesiące bywają tam burze, deszcz ulewny często pada, potoki i rzeki wzbierają, i wszystka ziemia nasiąka wilgocią. Wierzchołki gór i wysokie płaszczyzny

porastają wtenczas obficie trawą, a ludzie przychodzą tu paść swój żywy dobytek. Na zimę zaś wracają w doliny, do swych domostw pobudowanych pośród drzew, zarośli i pól uprawnych blizko rzek lub zdrojów; bo to pora sucha, deszczu wtedy przez kilka miesięcy nie bywa ani kropli, i na górach wszelka zieloność znika, robi się pustynia. Pomiędzy temi krajami, zdala od mórz, jest i pustynia wieczna, gdzie nietylko w zimie, ale i latem deszczu brak.

Okolice tej pustyni, szczególniej od zachodu słońca, w stronie oceanu Atlantyckiego, i prawie cały południowy koniec Afryki, od rzeki Oranży do przylądku Dobrej Nadziei, zamieszkuje od najdawniejszych, niewiadomych czasów aż do dziś dnia plemię Hotentotów. Są to ludzie niepodobni ani do murzynów, ani do żadnych innych plemion ludzkich. Mają oni twarz i całe ciało ciemno-żółte, a skórę mocno pomarszczoną. Dlatego od młodości już wyglądają staro i niećładnie. Oczy mają wązkie, jakby przymrużone; policzki wydatne; nos szeroki a płaski, mało wystający; czoło zaś wązkie, lecz wysokie i prostopadłe, od samego ciemienia ku przodowi wysunięte. Wąsy i broda nie rosną im prawie wcale, a na głowie mają włosy czarne rosnące nierówno po całej skórze, lecz gęstemi kępkami, krzaczkami między któremi są łysinki. Najdziwniej wyglądają ich kobiety. Wyrasta im z tyłu tuż pod krzyżem, na górnej części pośladka, spory garb, od pleców odstający tak, że dziecko może na nim siedzieć wygodnie.

Hotentotami przezwali tych ludzi Holendrzy, wydziwiając ich mowę, w której słychać dużo czeczotania. Hotentot mówi nietylko głosem wydobywanym z gardła, ale co chwila wymawia różne słowa samym językiem: przyciska go do górnych zębów, do dziąseł, albo do podniebia, i odrywa nagle a głośno. Tym sposobem wychodzą z jego ust głoski podobne do czeczotania czyli głosu wiewiórki. I my czasem takiemi głoskami się odzywamy, lecz nie w rozmowie, tylko, naprzykład, dając znak rączemu koniowi, żeby biegł prędzej, albo bawiąc małe dzieci na ręku lub na kolanach, albo wreszcie wyrażając nagle niezadowolenie, gdy coś w robocie nam się trochę niepowiedzie lub zepsuje.

Hotentoci jednak mają mowę dosyć dobrze wyrobioną, a język tak wprawny, że łatwo im nauczyć się każdej obcej mowy. Nie są oni ludem oświeconym, ale też nie są i przed wiekami już nie byli ludem dzikim. Nie chodzili zupełnie nago, odziewali się w skórzane fartuszki, płaszczyki, obuwie jakie takie i czapki. Utrzymywali stada bydła rogatego, i to

był główny ich sposób do życia. Z miodu robili napój mocny, którym lubili się raczyć. Wyrabiali sobie broń do łowów na dzikie zwierzęta i do wojowania: łuki, strzały, dzidy. Umieli nawet żelazo z rudy wytapiać i różne rzeczy z niego wykuwać. Ziemi nie uprawiali, zbierali tylko na swój użytek dziko rosnące owoce i rośliny; ale przytem baczyli na to, żeby roślin użytecznych nie wyniszczać i zbierać je dopiero wtedy, gdy owoc ich dojrzał i nasienie wydał.

Do rolnictwa przyuczyli ich, przymusili, Burowie holenderscy. Kiedy Holendrzy zaczynali osiadać w kraju Hotentotów, ziemia tam była i niczyja i wszystkich razem: ludzie pasali na niej stada bydła, przepędzając je z miejsca na miejsce, i każdy polował, gdzie chciał. Burowie jednak pobudowawszy sobie osady i najęwszy pod siew kawały ziemi, musieli baczyć na to, żeby im zboża w polu nikt nie tratował i nie wypasał. Uważali już te kawałki ziemi za swoją własność. Hotentotom zaś nie podobała się wcale taka niesłychana nowość, żeby ktoś zabierał ziemię na swój wyłącznie użytek. Robili na złość, wyrządzali szkody. Dochodziło więc do bójek i do wojen. Burowie mieli strzelby i konie, a przytem i oświaty trochę, więc łatwo im było dawnych krajowców pokonać Wojny kończyły się tem, że pobici Hotentoci musieli poddawać się. Stawali się oni według ówczesnych zwyczajów poddanymi niewolnikami zwycięzców, a chłopi holenderscy, Burowie. wychodzili na gospodarzy panujących. Obracali oni lud hotentocki w swe sługi, w swych pastuchów do bydła, i w parobków do robót polnych. Tym sposobem Hotentoci zapoznali się z rolnictwem, a jednocześnie zaczęli powoli przyjmować od Europejczyków odzież i niektóre zwyczaje. Wielu też ich zostało nawróconych na wiarę chrześcijańską. Ale razem z dobrem czepia się ich jeszcze łatwiej złe. najbardziej zaś pijaństwo. A że to w dodatku jest lud dość leniwy, i przytem bardzo niechlujny, więc nie umie bytu swego polepszyć, żyje z dnia na dzień i coraz bardziej upada. Liczba Hotentotów nie wzrasta, ale się podobno wciąż zmniejsza, i uczeni wróżą im, że z czasem wymrą zupełnie.

Kulig czyli Szlichtada.

Do rzędu ulubionych niegdyś w kraju naszym zabaw karnawałowych należał kulig inaczej szlichtadą zwany. Nazwę swoją wziął on prawdopodobnie ztąd, że zwołując kulig, laskę

z kulą u wierzchu posyłano od dworu' do dworu. Nie można się dziwić, że zabawa ta była upodobaną ludziom, którzy piękną miewają zimę i dobrą w tym czasie drogę, na mróz są wytrwali, a obfitość zbiorów posiadając, gościnni przytem i lubiący wesołość, całe zapusty uciechom poświęcali. Były też te zabawy nietylko w stolicy, lecz po całym kraju naszym od niepamiętnych czasów rozpowszechnione. Trwały jeszcze za króla Stanisława Augusta.

Cała okolica, powiat cały, województwo, kraj od jednego do drugiego końca, w ruch były wprowadzane. Układali i porządkowali kuligi zwykle celniejsi z pomiędzy młodzieży, rej pośród niej wiodący. Do zmowy tej, dla nadania jej większego życia, przyjemności i delikatniejszego powabu, choć skrycie poniekąd, przykładały się dziewczęta, czasem i matki, lubiące jeszcze zabawić się przyzwoicie, a wesoło. Rozpisany był cały porządek, gdzie się mają zaczynać, jak długo trwać, gdzie kończyć nareszcie te uciechy.

Najprzód u przewódcy swojego zbierała się młodzież, wysadzając się na kształtny zaprzęg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołanie. Ruszano do dworu najpierszego, gdzie dużo było dziewcząt, albo je sproszono, z powinszowaniami świąt szczęśliwych. Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj. Przy świetle kagańców i pochodni iskrzyły się brylantami całe okolice i lasy, nastrzępione śniegiem, niby srebrem oblane. Skrzypiały przemykające się lekko sanice, odzywał się zdala tętent koni, brzęk dzwonków różnogłośnych i kółek nawieszanych, odgłos muzyki, w takt odzywające się trzaskania biczem zręcznych woźniców, okrzyki wesołe już się dawały słyszeć, jak tylko do wsi wjeżdżali Wybiegali włościanie i całe ich rodziny, ze snu ocucone, przypatrywać się z uśmiechem temu widokowi; wybiegały i odzywały się psy wszystkie z całej wioski. Z tak powiększającym się coraz szumem i hałasem w otwartą wpadano bramę i zajeżdżano przed mieszkanie gospodarza. Ten wychodził naprzeciw gości, witał uprzejmie, wprowadzał do domu, gdzie czekała żona i dziewczęta już do tańca postrojone.

Po wstępnych grzecznościach i pozdrowieniach, ożywiała się coraz bardziej rozmowa, częstowano ochoczo; ludziom i koniom rad był gospodarz i miejsca obmyślił. Zaczynały się tańce Przez okna, niezawarte okiennicami jaśniejącego od światła domu, z początku zdala, potem, podchodząc coraz bliżej, przypatrywały się dziewczęta i dzieci, przez starszych tulone, z wioski za kuligiem nadbiegłe.

Tańce przerywano od czasu do czasu kielichami za zdrowie uprzejmego i łaskawego gospodarza, za zdrowie rodziny, za zdrowie dobrych sąsiadów i gości miłych. Tym sposobem doczekano się na gwałt przyrządzonej obfitej wieczerzy, po której znowu następowały pląsy, śpiewy do białego dnia nieraz, a potem nareszcie spoczynek utrudzonych, bez wybredzania przyjęty, gdzie i jak można było.

Tymczasem przysposobiono się do śniadania, lub obiadu następnego.

Wybierano się nareszcie w podróż, a jeśli gospodarz nie mógł, to jechała przynajmniej żona z córkami do drugiego dworu z kolei. Tak wszędzie zabierano z sobą rodzinę, u której gościli. Tym sposobem powiększał się kulig coraz bardziej, przybywało panien, mężatek, młodzieży, sanek, ochoty. Gdzie majętniejsi, bardziej uprzejmi, tam i kilka dni zabawiono, a chwile dnia nabożeństwa zrana, wzajemnym po stancyach odwiedzinom, śniadaniu, obiadowi, rozmowom poufałym, śmiechom, żarcikom i różnym grom towarzyskim poświęcano. Czasami obmyślano polowanie różnego rodzaju na grubego zwierza, na ptactwo, jakie nas i zimą nie odstępuje, to połów ryb, a zabawom tym towarzyszyły niekiedy i kobiety śmielsze, lub śmiałemi okazać się chcące. Inne pozostawały w domu z gospodynią, jej rodziną i niepolującymi mężczyznami: wyręczały właścicielkę w bawieniu gości, w trudach, w przysposobieniu wszelkiem z ujmującą ochotą i życzliwością. Wspólnem wszystkich było staraniem, by utrzymywać wesołość, ażeby i goście byli zadowoleni i gospodarz uradowany i wdzięczny.

Tam imieniny, tu urodziny, tu inna jaka okoliczność była odwiedzin chwilą i powodem; rozchodził się nareszcie odgłos zaczętej uciechy, ostrzegał sąsiadów, że i do nich zawita ta swawolna gromada, do przysposobienia się baczną gospodynię skłaniał. Któryż dom wreszcie obywatelski u nas był bez zapasów do uraczenia mało wymagających najezdników, względnych na stan każdego, okazujących i rzetelnie okazujących, że są najszczęśliwsi z tak dobrego przyjęcia. Był to wreszcie tylko dług wzajemności, gdyż, łącząc się nawzajem z gronem, chwil mile spędzonych i grzeczności doznawało się wszędzie.

Dzielił te zabawy i kapłan, i rycerz i poważny obywatel i mąż sędziwy, a wszyscy byli weseli: wszelka chmurka znikała tak łatwo przy dobrej woli, za wdaniem się osób zręcznych. Posiadano wówczas niezbyt łatwą sztukę, jak ukołysać miłość własną, rozjaśnić zachmurzone czoło, radości udzielać i samym jej doznawać. Tu ostrzeżono wcześnie, tu wpadano

znienacka, to w zwykłych, to w najstrojniejszych ubiorach, to w zręcznie dobranych maskach, a zawsze czyli to najwspanialszem, czy najskromniejszem ugoszczeniem chętnie zadowolili się goście.

Jeśli przewidywano, że gdzieś czegoś braknąć może, w najdelikatniejszy sposób ten zwierzyny, ten ryb nadesłał lub trunków jakich, sanie nareszcie pełne byty zapasów, które nieznacznie przechodziły w ręce kucharzy, posługaczów, a przy odjeździe domownicy byli obficie obdarowani. Gdy zachodziła trudność w noclegu, karczma, folwark, dom Proboszcza, organisty, kmiotków chałupy, obite kobiercami, przystrojone, każdej rodzinie, każdej gromadzie dawały schronienie; albo noc całą strawiono na tańcach — rozjeżdżano się zrana.

Kto widział chociażby cień jeszcze tych zabaw, przyzna z rozrzewnieniem, jak ludzki, jak uprzejmy, gościnny, dobroduszny był ten cały naród; rodzina to jedna zdawała się niby, weseląca się razem, używająca darów swej błogiej ziemi. Ta gromada, podobna do alpejskiej śnieżycy, wzrastająca coraz bardziej, gdzie spadła, to dlatego jedynie, aby wesołość pomnożyć, starożytny obyczaj zachować, serca zbliżać, wspólnych uciech doznawać, nie zaś klęski nanosić.

Pan Trepka.

Na początku panowania Augusta II. żył w województwie Rawskiem, Warszycki wojewoda Rawski, pan obszernych włości, światły ale głośny z swoich dziwactw. Miał puhar srebrny, ozdobiony kosztownemi medalami, a objętości jednego garnca. Ogłasza tedy, że kto go spełni nie odkładając od ust, ten go otrzyma w darze, ale kto się na niego porwie, a nie dopełni warunków, pięćdziesiąt batogów zamiast daru otrzyma. Chcącemu nie dzieje się krzywda. Wielu obywateli do jego zamku przyjeżdżało, prosili o pokazanie puhara, ale każdy, który nań spojrzał, zaniechał tyle uciążliwego doświadczenia, nie dowierzając sobie.

I tak od daty ogłoszenia minął rok, że pod jego koniec już obywatele zaprzestali się stawiać, a puhar jak był, tak i został własnością wojewody.

Aż razu jednego, podczas gdy siedział na ganku zamkowym, otoczony swoimi dworzanami, widzi jak zajeżdża na dziedziniec bryka, a z niej wysiada szlachcic nieznajomy, z litym pasem, w porządnym kontuszu, z pod którego wyglądały

karmazynowe hajdawery. Zbliża się do wojewody, nisko mu się ukłonił.

Wojewoda mu się odkłonił. Spojrzeli sobie w oczy. Gospodarz groźnie, gość pokornie. Wojewoda widzi człowieka nizkiego wzrostu, z plecami nadzwyczajnej szerokości, z brzuchem odętym, jednem słowem z tem wszystkiem, co znamionuje potężnego szermierza kielichowego.

Gospodarz pierwszy przerwał milczenie, odzywając się:

— Kłaniam się waszeci, i proszę go by mię raczył oświecić, kogo mam zaszczyt witać w moim domu.

— Jestem obywatel z ziemi Orszańskiej, nazywam się Trepka.

— I cóż waszeci zaprowadziło w nasze strony?

— Słyszałem o pewnym pucharze Pana Wojewody, radbym go widział i spróbował na nim moją siłę.

— Ale czy wiesz Waść, jakie go czekają warunki, gdybyś się porwał, a nie dotrzymał placu?

— A wiem, wiem o wszystkiem, Panie Wojewodo, proszę o pokazanie puhara.

Przyniesiono puhar; ten widok pana Trepki nie odstraszył.

— Staję — rzekł — do popisu, Wielmożny Wojewodo, na rozkaz pański.

Wojewodzie żal się zrobiło, bo przewidział, że ulubiony puhar przejdzie w obce ręce. Powstał i odszedł na stronę z swoim piwnicznym.

— Mości panie — powiedział — nie ma wątpliwości, dość okiem rzucić na tego utrapionego Litwina, żeby być pewnym, że nie garniec, ale dwa może bez odetchnienia wlać w gardło. Zrób więc jaką sztukę, żeby mu się nie udało. Mniejsza o batogi, o te obstawać nie myślę, ale przynajmniej puhar ocalę, bo szkoda go utracić.

Piwniczny takiego używa wykrętu: przyczepia na szpagacie mysz do sztyfcika będącego na dnie puhara. I napełnia go wytrawnym węgrzynem.

Pan Trepka w oburącz podnosi puhar, otworzywszy ogromne usta, i leje wino w gardło jeszcze przestronniejsze, jakby w beczkę. Mysz wpada mu w gębę, on bynajmniej tem się nie zraża. Mysz połyka, odkąsiwszy szpagat i aż do ostatniej kropli wina przelewa w gardło, tak że próżnym puharem uderzył po łysinie.

— Panie Wojewodo — odezwał się tryumfujący bohater ten puhar jest moim. A waść — dodał obracając się do piwnicznego, kiedy masz sobie powierzone tak dobre wino, pilnuj odtąd, żeby muchy do niego przystępu nie miały.

Sieroty Seneńskie.

W połowie XIV wieku żyli w Siennie we Włoszech brat i siostra sieroty, potomkowie starożytnego rodu Manfredi. Chociaż nie majętni, ale swobodni i kochając się wzajemnie byli bardzo szczęśliwi. Posiadali oni mały domek, otoczony winnicą i szpalerem figowych drzew, nadto Karlo miał dzielny oręż i czekał tylko hasła do boju, aby męztwem i walecznością przywrócić dawną świetność swemu imieniowi. Andżolina niczego nie pragnęła. Cicha, skromna, pobożna, we czci Maryi czerpała niebiańskie pociechy, czule kochała brata i od niego była kochaną, żyli oboje spokojnie i wesoło. Ale niema ta pogodnego nieba, któreby nie miało gromów i burzy, ani gniazdka tak ukrytego w zieleni, żeby go jastrząb nie zoczył, ani tak spokojnego przechodnia, żeby go złość ludzka nie dosięgła. To też pomimo ich ukrytego i niewinnego życia, brat i siostra mieli nieprzyjaciela, i na nieszczęście nieprzyjaciel ten był najwyższym urzędnikiem rzeczypospolitej Seneńskiej. Był on sąsiadem dwojga sierót i wspaniały pałac jego wznosił się groźno nad małym domkiem Karola i Andżioliny; obszerne jego ogrody rzucały cień swój na ich winnice i dumny ich dziedzic, poglądając z wysokich ganków swego pałacu zapragnął tego kawałka ziemi, jedynej posiadłości młodych sierót. Tak niegdyś złośliwy Achab pożądał pola Nabotha. Urzędnik, którego historya nie wyraża nazwiska, uniesiony chciwością proponuje młodzieńcowi sprzedaż domku za tysiąc dukatów.

Karlo wręcz odpowiada słowami Pisma:

— Niech mię Bóg broni bym miał sprzedawać dziedzictwo ojców moich...

W rzeczy samej, nie szło mu o kilka morgów gruntu, o winnicę, o kilka ścian gotyckich, ale o spuściznę po przodkach, o domową zagrodę, gdzie ich rodzice żyli i umarli. Był to posag Andżioliny. Karlo zatem stanowczo odmówił, i od tego czasu wielki magnat szuka sposobu do zemsty. Widok tego zakątka ziemi, którego złotem swem nie mógł zdobyć, coraz bardziej zajątrzał gniew jego. Nareszcie, korzystając z zamieszek politycznych, jakiemi wówczas rzeczpospolita szarpaną była, zgromadził na głowę niewinnego młodzieńca wiele ciężkich zarzutów i wtrącił go do więzienia. Sprawa ta żwawo się toczyła, sędziowie pomimo swej prawości zawikłali się w labiryncie niesprawiedliwych dowodów nienawistną nagromadzonych ręką i wydali wyrok. Karlo został skazanym na śmierć, albo na wykupienie życia opłatą tysiąca dukatów. Młodzieniec z właściwą

sobie energią gotował się na śmierć, nie chcąc żadnym sposobem pozbawiać siostrę ubogiej posiadłości.

Napróżno Andżiolina przyszedłszy do więzienia, upadła do nóg jego błagając, by sprzedał domek sąsiadowi i wykupił swe życie.

Karlo odmówił.

— Raczej śmierć, niżeli być przyczyną twej nędzy! odpowie jej.

Dzieweczka płakała u stóp jego, mówiąc z boleścią:

— Bracie mój kochany! Tyś mi lepszy nad wszystkie skarby. Czy mniemasz, że ta posiadłość, krwią twoją oblana, może być miłą dla mnie? O mój Karlo! daj mi twe życie, to jedyny dar, którego pragnę od ciebie!

Młodzieniec smutno potrząsając głową rzecze do niej.

— Jestem twym opiekunem; nikt nie powie, żem ratując się od śmierci obdarł cię ze wszystkiego. Nie płacz, drogą Andżiolino, chętnie oddaję nieprzyjacielowi ciało moje; to co cię kocha we mnie nie umrze... dusze nasze połączone w Niebie wiecznie żyć będą na łonie Boga. Nie nalegaj więcej, znam powinność moją... Żegnam cię, i Bogu cię oddaję! Niech Pan Jezus i Najświętsza Matka Jego błogosławią cię zawsze!!

Andżiolina w ciężkiej boleści widząc, że nic nie zmieni postanowienia brata, całą swą ufność w Bogu złożyła. Wychodzi z więzienia ze starą krewną, Justyną Manfredi, która ją tam zaprowadziła, bierze wszystkie jakie miała w domu pieniądze, spieszy do kościoła OO. Dominikanów, składa w ich ręce tę ofiarę, prosząc, żeby zaraz odprawili co najwięcej Mszy śś. na cześć Matki Boskiej i za dusze zmarłych, sama zostaje w kościele, modląc się ze łzami przed ołtarzem Maryi, błagając zmiłowania Pańskiego.

Południowe słońce żywym blaskiem opromieniało mury świątyni, gdy Andżiolina wyszła z kościoła. Wszyscy ustąpili jej z drogi, dając wolne przejście, bo jej nieszczęście wszystkim znane, obudzało dla młodej sieroty rzewne współczucie. Ale szczególnie zwrócił na nią uwagę pewien młodzieniec szlachetnej postawy, który widząc jej łzy, jej boleść, pyta obok stojącego starca:

— Kto jest ta młoda dziewica i czemu tak płacze?

— To Andżiolina Manfredi, odpowie nieznajomy; alboż pan nie wiesz, że brat jej niewinnie oskarżony jutro będzie ścięty, jeżeli nie zapłaci tysiąca dukatów... O! biedna sierota!...

Młodzieniec stał jak wryty w głębokiem zadumaniu.

Był to Anzelm Salembini należący do jednej z najpierwszych rodzin w Umbryi. Zamek jego w górach niedaleko Sienny, wspaniała rezydencya, otoczony wałami i basztami wyglądał jak pyszny klejnot w żelaznej szkatułce. Dzielny rycerz Anzelm godnym był starożytnego imienia, sławnego w dziejach rzeczypospolitej Seneńskiej, ale głowa zamożnej rodziny, odziedziczył niechęci swych przodków. Była jakaś stara kłótnia między domem Salembini a Manfredi; było rozlanie krwi; wzajemna nienawiść rozdzielała ich od kilku pokoleń. Wszakże gdy Anzelm ujrzał młodą sierotę przywaloną nieszczęściem, ściśnioną boleścią, wzruszyło się serce jego. Znikły dawne urazy... i szlachetny młodzieniec, przejęty rzewnem współczuciem, stał się dla nieszczęśliwych narzędziem Opatrzności.

Salembini ukląkł przed obrazem Matki Boskiej, krótko się pomodlił, i otulając się płaszczem pospieszył do *palazzo-publico*, do izby rządowej.

Gdy noc nadeszła, Andżiolina w dolnej sali swego domu czuwała na modlitwie. Lampa płonąca przed obrazem Maryi błyskała bladem migającem światłem jak ostatnia nadzieja strapionego serca, jak ostatnie tchnienie umierającego... Blada, drżąca, młoda dziewica, przesuwała paciorki swego różańca, a jej przytłumione jęki rozlegały się wśród nocnej ciszy.

— O Matko sierót! Pocieszycielko strapionych! wołała z boleścią, Maryo, jedyna nadziejo nasza, ratuj nas w tej potrzebie!

Przyczyńcie się za nami dusze święte przez Ofiarę Ołtarza z czyśca wybawione, zeszlijcie nam rychłą pomoc!!

Wtem słyszy pukanie... wstaje, otwiera drzwi...

— Siostro! najmilsza siostro moja! zawoła głos dobrze znajomy, i Andżiolina ujrzała się w objęciach brata... drogiego brata żywego, oswobodzonego.

Zaledwo go poznała, wnetże upada na kolana i wznosząc ręce do nieba:

— Dzięki Ci, o Boże! Ojcze sierót! zawoła w uniesieniu radości. Tyś wysłuchał błaganie nasze, Tyś otarł łzy nasze! Miłosierdzie Twe na wieki wysławiać będziemy!!

— Matko Boska, opiekunko naszego miasta, zawoła Karlo, Tyś mię wybawiła od śmierci!

— Bracie kochany! Czyż to być może... toś ty! lecz jakżeś został uwolniony?

— Jakiś nieznajomy zapłacił za mnie pieniądze i jestem wolny.

— Naprawdę Anioł Pański cię strzeże.

— Nie wątpię, droga Andżiolino, że cudowna pomoc Boska zachowała mię. Ale któż był narzędziem Opatrzności? Komu zawdzięczamy tę łaskę?

— Zapewno ktoś z naszych krewnych. Może Donati di Casa Nuova, ojciec nasz zachował mu życie na wojnie.

— Może Angelo Raberi, synowie naszej matki?

— On w Hiszpanii na wojnie z Maurami.

— Romuald Durazzo, bogaty i hojny.

— Wcale nie; on jest posłem przy cesarzu, nie mógł nawet wiedzieć o naszem nieszczęściu.

Tak przejęci wdzięcznością brat i siostra gubili się w domysłach, nie mogąc znaleść dobroczyńcy swego... a wśród tej rozmowy tysiączne dziękczynienia wznosiły się do Boga.

Gdy pierwszy blask jutrzenki zarumienił wierzchołki figowych drzew, a dzwon przyległego kościoła zadzwonił na Anioł Pański, poszli na Mszą świętą, posilili się Chlebem Anielskim, śpiewając w sercu hymn wdzięcznej miłości. Karlo pospieszył potem do *palazzo publico,* żeby się dowiedzieć o nieznajomym dobroczyńcy, i w pół godziny wrócił rozpromieniony radością, wołając do siostry, która wybiegła na jego spotkanie.

— Wiem, już wiem, kto mię wybawił od śmierci! Dziękuj Bogu, Andżiolina; Salembini sam wczoraj zapłacił tę ogromną sumę tysiąc dukatów.

— Salembini! największy nieprzyjaciel naszej rodziny!!

— Tak, to on! O! szlachetne serce! niech go Bóg błogosławi! Jakże słodko kochać tych, którycheśmy nienawidzieć przywykli! Ale pójdźmy! trzeba mu podziękować.

Ja? zawołała Andżiolina, cofając się z przerażeniem. Wiesz, że Anzelm jest młody, cóżby na to ludzie powiedzieli?

— Nie bój się tego, pójdźmy oboje. Jesteśmy potomkami nieprzyjaznej dlań rodziny, powinniśmy go zapewniać że miłość zastępuje miejsce nienawiści; że my, dzieci i wnuki nasze, będziemy odtąd jego przyjaciółmi i sługami. Chcesz-że by nas miał za niewdzięcznych?

Andżiolina nie opierała się dłużej, i osłoniwszy się białym welonem, pospieszyła w góry za bratem.

Południowe słońce tryskało żarem promieni, gdy przybyli do zwodzonego mostu starożytnego zamku Salembini. Służący zbliżył się dla przyjęcia gości; młodzieniec rzecze do niego:

— Powiedz twemu panu, że Karlo Manfredi z siostrą przybyli podziękować mu za wolność i życie, które im darował.

Służący się ukłonił i wprowadził ich do sali portretowej, gdzie wkrótce prybył Anzelm. Zdawał się być wzruszonym, ale

słodycz i uprzejmość zdobiły jego męzkie oblicze. Podał rękę Karolowi, skłonił się z uszanowaniem Andżiolinie.

— Salembini, rzecze Karlo, drżącym od wzruszenia głosem; winienem ci życie, siostra moja zawdzięcza tobie życie swego brata. Nie mamy słów dla wyrażenia wdzięczności naszej. Niech zginie na zawsze nienawiść ojców naszych. Zapomnij o niej, zacny Anzelmie, a chciej tylko widzieć w sierotach Manfredi wierne przyjacioły i sługi twoje.

— Tak, przyjacioły! odpowie Salembini, ściskając dłoń młodzieńca, cieszę się bardzo, że nimi się mianujecie; i jako przyjacioły spodziewam się, że przyjmiecie gościnność u mnie.

— Jesteśmy na twe rozkazy, odpowie Karlo.

Anzelm wyszedł. Brat i siostra dość długo zostali sami.

Zastawiono im przepyszny obiad; ale gospodarz się nie ukazał.

Noc się zbliżała, góry Umbryjskie zajaśniały ostatnim blaskiem zachodzącego słońca, służący zaświecili woskowe pochodnie, a Karlo i Andżiolina jeszcze samotni z cicha wyrażają swe podziwienie... gdy z nagła drzwi się otwierają, Anzelm Salembini w przepysznym stroju wchodzi w licznym orszaku krewnych, przyjaciół, sąsiadów i zbliżając się do Karola rzecze:

— Zebrałem naprędce to szanowne towarzystwo, aby wszyscy byli świadkami pojednania naszego, świadkami przyjaźni, jaką mię zaszczycasz. Zebrałem jeszcze tych kochanych krewnych i przyjaciół, żeby obecnością swoją wsparli mię w prośbie, jaką do ciebie zanoszę.

— Prośbę masz do mnie, Anzelmie!... Cóż to znaczy?

— Tak, Karlo... Zapomniawszy dawnych niechęci bądźmy przyjaciółmi, bądźmy jeszcze braćmi... Zacna dziewico, rzecze dalej, zwracając się do Andżioliny; cnoty twe i pobożność ściągają błogosławieństwo nieba; chciej być panią tego zamku; chciej być między dwoma nieprzyjaznemi rodzinami zadatkiem wiecznego spokoju! Manfredi, czy się zgadzasz na to?

Karlo, wziąwszy rękę Andżioliny, złożył ją w ręce Anzelma; a wznosząc oczy ku niebu rzecze z zapałem:

— Oby się tak skończyły wszystkie niesnaski nasze! Oby miłość, pokój, zgoda jak kwiat nadziei lepszej przyszłości pomiędzy nami zakwitły!!

Wielka była radość w tej rodzinie. Wszyscy wielbili Boga, podziwiali niepojęte drogi Opatrzności.

Andżiolina nie zawiodła się szukając przez Ofiarę Mszy św. ratunku w nieszczęściu, bo za przyczyną Maryi i świętych dusz czyścowych, po łzach znalazła spokój, po smutku wesele.

(Z Kroniki miasta Sienny. Życie Ś. Katarzyny p. Chavana z Medyolanu).

Pastuszek malarz.

Dawno, bardzo dawno temu, żył w biednej wiosce Kortonie pod Florencyą*) dwunastoletni pastuszek, imieniem Piotruś. Ów mały chłopiec chodząc za trzodami. często siadał na murawie, i wśród gęstych drzew oddawał się rozmyślaniu. Nagle Piotruś znika ze swej wioski i biegnie do miasta Florencyi.

W tym samym czasie żył w owem mieście inny chłopak, nie więcej nad 9 lat mający, imieniem Tomasz, który będąc tak samo biednym, jak nasz pasterz Piotrus, opuścił także rodzinną wieś, aby zostać kuchtą w kuchni jednego Kardynała.

Lecz Piotr nie po to przyszedł do miasta, ażeby zostać kuchcikiem, bo był ożywiony szlachetnym zapałem. — W stolicy była szkoła malarstwa, a Piotr zapragnął zostać malarzem. Jakim sposobem mógł on zamierzonego celu dopiąć, w istocie trudno sobie wyobrazić, jednak pastuszek postanowił spróbować szczęścia.

Zatrzymał się tedy Piotruś przed pałacem Kardynała i czekał cierpliwie dopóki nie skończy obiadu, żeby potem łatwiejszą miał sposobność pomówienia ze swoim kolegą i przyjacielem Tomaszem,

Długo, długo czekał biedny Piotruś, gdy nareszcie z wielką dlań radością ukazał się Tomek przed pałacem swego pana.

— Jak się masz Tomku, rzekł Piotr, patrząc z uszanowaniem na dobrze ubranego kolegę.

— Ach! jak się masz Piotrusiu? a ty co tu robisz? Cóż cię to sprowadziło? zapytał kuchta.

— Przyszedłem, żeby się uczyć malarstwa, odrzekł szybko Piotruś.

— Nie ma w tem sensu, lepiej ucz się gotować mój kochany, odpowiedział Tomasz. — To mi to rzecz; Nie można umrzeć z głosu w naszej profesyi.

— Możesz więc tyle jeść, ile ci się podoba?

— A rozumie się.

— A to wybornie, zawołał Piotr radośnie, możemy się więc porozumieć. — Ty masz za wiele, ja zaś zamało. Dam ci więc mój apetyt, a ty w zamian daj mi swoje zbywające potrawy.

— Zgoda niech i tak będzie, odrzekł Tomasz.

— A więc zacznijmy zaraz wykonywać naszą umowę, odparł Piotr dobrodusznie, bo przyznam ci się, iż jeszcze dzisiaj nie jadłem obiadu.

Florencya, miasto we Włoszech.

Tomasz zaprowadził cichaczem Piotra do swojej maleńkiej stancyjki, w której sypiał, odstąpił mu połowy łóżeczka, i zalecił zaczekać, zanim nie przyniesie pozostałych resztek z pańskiego stołu.

— Doskonale, rzekł mu Piotruś, tylko nie baw się zbyt długo, bo piesza podróż dodała mi djablego apetytu

Tomasz niezadługo powrócił, i obaj przyjaciele zasiedli do wieczerzy.

Była to kolacya w istocie wesoła. Tomasz pełen dowcipu, serdecznie naśmiał się z żarłocznego apetytu swego rodaka.

Piotr nie miał za co kupić sobie papieru, ani ołówka, a że Tomasz nie pobierał jeszcze żadnych zasług, przeto ich położenie było dosyć przykre. Lecz że ściany małej izdebki były czysto wybielone, przeto Tomasz przynosił swemu przyjacielowi zawsze kilka węgli z kuchni, któremi Piotr zaczął robić na ścianie różne rysunki. Jakiś czas przeszedł tym sposobem, gdy pewnego dnia Tomek dostał od kogoś trochę pieniędzy. — Wielka tedy radość w izdebce, bo młody malarz dostał i ołówka i papieru.

Odtąd zaczął Piotr wychodzić rankami, i wstępował do przepysznych kościołów, przypatrywał się obrazom, posągom, rysował je, a przebiegając przyległe okolice, przyglądał się polom i widokom, które zapaliły jego młodociany umysł, i które dziwnym, niczem niepowstrzymanym popędem, skłoniły go do sztuki malarskiej

Znikały stopniowo pierwsze grube próby rysunku mazane węglem po ścianach, i Piotr natomiast pokrywał mury szczupłej celi rysunkami daleko już lepszymi, stancyjka młodego kuchty, stała się mieszkaniem pracy i przyjaźni.

Lecz ileż to razy prosty przypadek, największe tajemnice odrazu wyświeca. — Kardynał ów postanowił w jednym roku przerobić i odnowić cały swój pałac. W tym celu przeszedł się po całym domu wraz z swoim budowniczym, i obejrzał nawet i te pokoje, w których przedtem noga jego nie postała. Stancyjka kuchty nie unikła baczności jego. Nie było w niej wówczas Piotra, ale liczne rysunki na papierach i gołych ścianach, świadczyły o znakomitym przyszłym talencie i cierpliwości chłopca mieszkającego w tej celi. Wartość tych prac, uderzyła mocno Kardynała i budowniczego, który z nim pałac oglądał.

— Kto tutaj mieszka? zapytał prałat. — Jest to stancya Tomasza kuchcika, odpowiedział jeden ze służących.

Kardynał natychmiast posłał po Tomka, ażeby mu powinszować jego biegłości w rysunkach, oraz żeby się rozmówić z nim o dalszych dlań widokach. — Tymczasem skoro biedny Tomek dowiedział się, że pan odwiedził jego mieszkanie i zobaczył mazaniny Piotra (bo tak zwykle Tomasz nazywał rysunki przyjaciela), już się miał za zgubionego.

— Nie będziesz już dłużej zostawał pomiędzy moimi kuchcikami, rzekł do zbliżającego się Tomasza Kardynał, nie wiedząc jeszcze, iż kuchcik miał współmieszkańca.

Tomek zrozumiał tylko dosłowne znaczenie wyrazów pana swego, i sądził, iż mu przyszło opuścić służbę, i zostać bez przytułku, za to, iż jego przyjaciel pomazał ściany węglem.

Rzucił się on do nóg swemu panu, i gorzko wzdychając zawołał.

— O! nie oddalaj mię panie — bo cóż się stanie z moim przyjacielem Piotrem?

Kardynał zdziwiony odpowiedzią, zażądał od Tomka jaśniejszego wytłómaczenia takowej, i dopiero po niejakim wahaniu się chłopca, potrafił się od niego dowiedzieć, iż przed dwoma laty ów kuchcik przyjął potajemnie do swego mieszkania, młodego pastuszka Piotrusia.

— Jak tylko ten twój przyjaciel pastuszek powróci do domu wieczorem, przyprowadź go do mnie natychmiast, rzekł pan do kuchcika, a śmiejąc się serdecznie z chwilowego kłopotu chłopca, zapewnił go, iż i nadal spokojnie pozostać może w dotychczasowych obowiązkach.

Wieczorem nie powrócił młody malarz, i tydzień i dwa tygodnie minęły, a o Piotrze żadnej nie było wieści

W końcu Kardynał sam począł się o Piotra mocno niepokoić, a będąc wielkim protektorem malarstwa, nakazał poszukiwanie, z którego się wykryło, iż zakonnicy pewnego ustronnego klasztoru udzielili schronienia jakiemuś młodemu czternastoletniemu chłopcu, który ich prosił o pozwolenie przerysowania pięknego obrazu, znajdującego się w kaplicy kościelnej. Nie było wątpliwości, iż chłopcem owym był Piotruś przyjaciel kuchcika. — Nie przerywano więc wcale jego pracy, a po skończeniu roboty przyprowadzono go mocno zadziwionego przed Kardynała, który najłaskawiej przyjął młodzieńca, a następnie umieścił go w szkole jednego z najlepszych malarzy.

W pietnaście lat po tem zdarzeniu dwaj dojrzali mężowie żyli, jak rodzeni bracia i mieszkali razem w pięknym pałacyku wiejskim pod Florencyą Mówiono powszechnie

o jednym z nich: — Oto jeden z największych tegoczesnych malarzy. A o drugim mówiono: — Oto wzór przyjaciela. Byli to, Piotr z Kortony, niegdyś ów pasterz Piotruś, i jego przyjaciel Tomasz, niegdyś ów poczciwy kuchcik; pierwszy wielki malarz włoski, drugi zaś bogaty i powszechnie poważany obywatel.

Figle i żarty.

Lekarz (do chorej pani): Proszę pokazać język.

Mąż (słysząc to, szepce mu do ucha): Zlituj się doktorze, nie naprawiaj jej języka, bo już aż nazbyt ma dobry i wprawny.

Żebrak: Ach! zlituj się pan! jam nieszczęśliwy, nie mam żony, ani dzieci.

Pan: A! mój bracie, toś ty szczęśliwszy odemnie, bo nie potrzebujesz na nikogo pracować.

Cięta odpowiedź. Pewien pan na wsi, sam chory i posiadający chorego psa, mówi do przybyłego doktora: Może konsyliarz dobrodziej poradzi także mojemu pudlowi, który zołzuje. Po weterynarza posyłać daleko, a przecież i to lekarz i to lekarz.

— Niech pudel korzysta z tej samej recepty, którą zapisałem panu dobrodziejowi. Przecież i to chory i to chory.

Myśl kowala. Widziało się różne rzeczy kute, ale takiej kutej, jak moja baba, to jeszcze nikt na świecie nie widział.

Największy próżniak. Kto jest największym próżniakiem w całej klasie?

— Nie wiem, proszę pana nauczyciela.

— Mnie się zdaje, że wiesz. Któż to siedzi z założonemi rękoma, kiedy wszyscy pracują, i tylko rozgląda się dokoła.

— Pan nauczyciel.

Niepewny. Znany lichwiarz skinął na dorożkarza i kazał się odwieść na wskazane miejsce. Dorożkarz poskrobał się w głowę i rzekł:

— Możeby wielmożny Pan poszedł piechotą, bo jak go powiozę, będą ludzie wskazywać na nas palcami, mówiąc: Oto jedzie łotr, — a ja nie będę wiedział, o kim myślą, czy o mnie czy o wielmożnym.

Jeszcze słowo od Wydawnictwa.

Usilnie prosimy wszystkich Szan. Czytelników, którym ten drugi numer *Skarbnicy* przesyłamy, by raczyli jak najrychlej nadesłać prenumeratę, jeżeli chcą otrzymać numer 3-ci i dalsze. Stanowczo bowiem wstrzymamy od marca b. r dalszą przesyłkę pisma, wszystkim, którzy wnet prenumeraty na *Skarbnicę* nie złożą.

To samo odnosi się i do *Nowego Dzwonka*, którego numer 1-szy dziś na okaz razem ze *Skarbnicą* przesyłamy. I to drugie pismo tylko ci otrzymywać będą, którzy z góry złożą prenumeratę.

Wyszło z druku **popularno-apologetyczne dziełko** pod tytułem

„O własnościach prawdziwej religii“

i zawiera następujące rozprawy: Czy religia katolicka powinna zawierać dogmat, moralności i kult. — Czy prawdziwa religia powinna wymagać kultu wewnętrznego, zewnętrznego i publicznego. — Czy religia prawdziwa powinna być nadnaturalną i zawierać tajemnice. — Czy religia katolicka jest rozwojem jakiejkolwiek innnej religii. — Czy religia katolicka jest niezmienna i nieustająca. — Czy religia prawdziwa może zależeć od władzy świeckiej.

Cena za egzemplarz 1 złr. (2 korony), z przesyłką pocztową o 10 ct. więcej.

Do nabycia w **Księgarni Gebethnera i Wolfa w Krakowie** Rynek, gł.

Dr. ROMAN SULIMIR

adwokat krajowy

posiada

kancelaryę adwokacką

w Krakowie

przy ulicy Szczepańskiej L. 3.

Redakcya *Skarbnicy* szczerze poleca tego p. adwokata wszystkim potrzebującym obrony prawnej.

Choralik

czyli

Małe officium tercyarskie

ułożone przez **O. Floryana**, Kapucyna, wyszło w nowem wydaniu i kosztuje:

zbroszurowane **50** ct., oprawne w płótno, brzegi marmurkowe **70** ct., oprawne w płótno, brzegi czerwone **1** złr., oprawne w skórkę brzegi czerwone **1** złr. **30** ct., oprawne w skórkę, brzegi złote **1** złr. **50** ct., z klamerką wszystkie oprawy o **20** ct. więcej.

Do nabycia w **Klasztorze OO. Kapucynów w Krakowie.**

Kalendarz „KATOLIK“

na rok 1900

wyszedł z druku i kosztuje **35** ct. za egzemplarz.

Tuzin (**12** egzempl. wraz z opłatą pocztową) kosztuje tylko **4** złr.

Do każdego kalendarza dołączony jest kolorowany obraz treści religijnej.

Adres:

Administracya Kalendarza „KATOLIK“

Lwów, ulica Śnieżna L. 2.

Kółkom rolniczym i sklepikom chrześcijańskim poleca się

CHRZEŚCIJAŃSKI HANDEL WIN J. GRALEWSKIEGO

w Krakowie, ul. Grodzka L. 44.

Handel istnieje od roku 1806 i utrzymuje na składzie doborowe wina węgierskie, austryackie, reńskie, włoskie, oraz araki francuskie, koniaki i wystałą śliwowicę syrmińską. Sprzedaje w większych lub mniejszych ilościach i po cenach umiarkowanych.

Cenniki na żądanie bezpłatnie!

NOWY DZWONEK

pismo ludowe podające: **wiadomości polityczne, sprawy krajowe i społeczne, kronikę kościelną, nowiny i rozmaitości.**

Wychodzi na nowo **dwa razy** w miesiącu, t. j. dnia 1-go i 15-go.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi:
na rok: 5 koron (2 złr. 50 ct.) — na **pół roku: 2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.) Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.

Adres: Redakcya *Nowego Dzwonka*
w **Krakowie** ul. Basztowa l. 4.

Słownik apologetyczny Wiary Katolickiej

podług dra Jana Jaugey'a,
opracowany i wydany staraniem X. Władysława Szcześniaka, Magistra św. Teologii, i grona współpracowników.

Warszawa 1894—1899.

Tom I. str. XXV, 752. Tom II. str. 797. Tom III. str. 930.

Poważne to dzieło obejmuje główne zarzuty, stawiane nauce katolickiej przez niedowiarstwo lub ignorancyę, i w 400 blisko artykułach podaje treściwe na nie odpowiedzi: metodą ściśle naukową wyjaśnia zagadnienia sporne i zarzuty kłamliwe z zakresu nauk biblijnych, filozoficznych, historycznych, przyrodniczych i archeologicznych. Dzieło to może być wielką pomocą naukową dla ludzi, szukających prawdy, dla tych co ze swego stanowiska bronić jej muszą, jak np. dla kapłanów, nauczycieli młodzieży, dla wykształconych rodzin katolickich. Pierwsze to w tym rodzaju dzieło w języku polskim

Cena 12 rubli.

Zgłaszający się po nie wprost do wydawcy otrzymują całe dzieło za rubli 10.

WW. Księża nabyć mogą powyższe dzieło także za 12 intencyj mszalnych.

Adres Wydawcy:

X. Wł. Szcześniak, Krakowskie Przedmieście Nr. 1 w Warszawie (przy kościele św. Krzyża).

Także i redakcya *Skarbnicy* przyjmuje zgłoszenia.